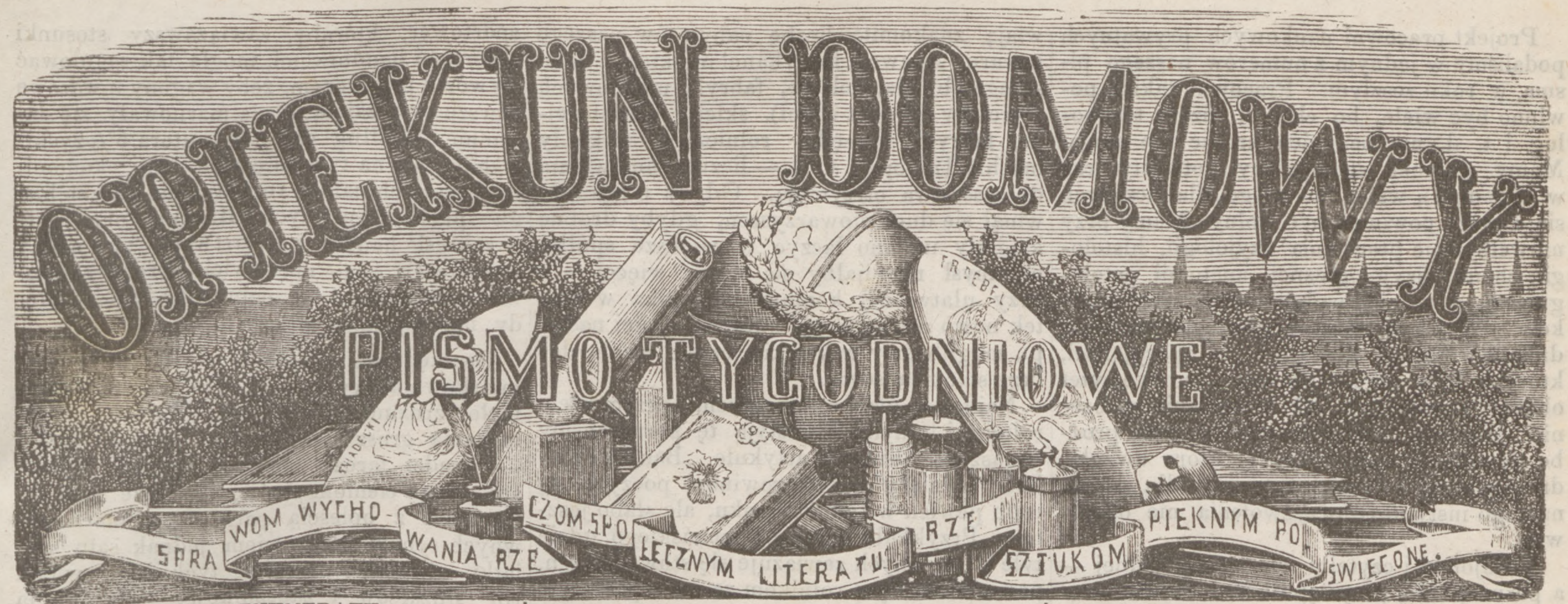
Nr. 4. Warszawa, dnia 16 (28) Stycznia 1874 roku. Rok X.—Seryja 3-cia.



CENA PRENUMERATY:
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90		
miesięcznie	„ 30	w Austryi rocznie	9 guldenów
		w Prusach „	5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* u Wilda Karola; *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

PRACA DLA JUTRA.

Każdy człowiek myśli o przyszłości, patrzy na to, co jest i przewiduje, co będzie. Rozum i doświadczenie, koleją czasu zdobyte, są najlepszym kierownikiem czynu. Byłoby to bezowocnym powtarzaniem, że pracy i czynów nam potrzeba. Wiemy o tym zbyt dobrze, chodzi o to tylko, jakie mają być te czyny i ta praca. Rozbierzmy przedmiot ten, o ile można, szczegółowo.

Co rozumiemy przez pracę dla jutra? Oto przygotowanie jak najlepszych i najpomyślniejszych warunków bytu dla nas samych i dla pokolenia, które po nas nastąpi.

Jakież są te warunki? Wiedza, dobrobyt, siła fizyczna i moralna—odpowiadamy.—Czy jednak w tych czterech pojęciach mieści się wszystko? Zobaczymy.

Człowiek posiadający wiedzę—już tym samym należycie pojmuje i ocenia swoje osobiste i społeczne stanowisko. Jest on ostrożnym, taktownym i przewidującym, nie ulega chwilowym porywom, nie kieruje się zaślepioną namiętnością, która zawsze naraża na zawady i straty, ale umie się przeciwstawiać nieprzyjaznym wpływom i ułudnym poszeptom, potrafi też umiejętnie kierować się w życiu.

Dobrobyt daje niezawisłość, dozwala popierać skutecznie wszelaki postęp i rozwój, podnosi znaczenie materyjalne jednostek i społeczeństwa, ułatwia czynność wszelką, boć najlepsze chęci rozbijają się o brak środków, zawsze nieodzownych i koniecznych.

Siłę fizyczną daje wielość jednostek czynnych, wspierających się wzajemnie;—siła zaś moralna według naszego rozumienia, jestto akt wyznania wiary społecznej, zapisany na dnie obywatelskiego sumienia, a w ciągłej praktyce życiowej wypowiadany i czynami stwierdzany. Przedstawicielami tej wiary są w zakresie teoryi opinije i przekonania, jakie urabia sobie ogół, względnie do potrzeb i położenia swojego; w zakresie zaś praktyki wytrwałe urzeczywistnianie tych opinij i przekonań w postępowaniu.

Określiwszy w ten sposób zakres pomyślnych dla bytowania warunków, zastanówmy się, czy je przygotować można, bo już wiemy aż nadto, że przygotować trzeba.

A więc najpierw do nauki i wiedzy przystąpmy.

Jakież są sposoby jej nabycia? W umyśle każdego staje odpowiedź: że dobry system wychowania domowego i publicznego jednostki społeczne kształci i przysposabia do przyszłych zawodów. Szkoła uczy wiele, ale stokroć więcej uczy własna samodzielna praca. Jeżeli dziecko jest systematycznie a umiejętnie w domu kształcone, można nawet mimo wadliwego systemu dalszej edukacyi, rozwijać jego umysł, dając mu w ręce dobre książki, popularnie a mimo to naukowo rzecz traktujące. Takich książek nam brakuje, potrzeba je przeto przyswoić naszej literaturze z języków obcych, lub napisać oryginalnie. Podręczniki do kształcenia się samodzielnego są rzeczą konieczną, ale podręczniki takie, żeby uczeń z małą pomocą mógł sam sobie dawać radę, żeby wykład przedmiotu był jasny — systematyczny i zrozumiały. Książki takie nie mogą być, przedmiotem spekulacyi, nie mogą być, jak to się nieraz zdarza, fabrykowane na obstalunek. Tylko specyjaliści, wysoce sumienni, zajmować się tym winni, bo to kwestyja niesłychanej doniosłości. Wychowanie domowe bez takich książek jest rzeczą bardzo utrudnianą, a cóż dopiero samodzielne kształcenie się, samouctwo!..

Prócz tego abecadła wiedzy, brakuje nam jeszcze wielu dzieł specyjalnych, do wyższego już ukształcenia służących. Niektóre (np. dotyczące medycyny) są już gotowe; a fakt ich istnienia powinien pobudzić do działania i w innych kierunkach.

Jednak to jeszcze nie wszystko—do nauki, do badań samodzielnych, potrzebne są nadto pracownie, gabinety, muzea, potrzebne biblijoteki i czytelnie.

ŚLADY ŻYCIA.

IV.

Tyle życia, ile... w czynie.

„Spółka połączonéj pracy kobiet” w Warszawie dała sprawozdanie z czynności swoich za rok ubiegły i spełniła tym sposobem obowiązek każdej instytucyi, która ma dobro publiczne na celu. Chcielibyśmy, ażeby jak najwięcej ludzi zainteresowało się tą sprawą i dlatego podajemy główniejsze tego sprawozdania szczegóły.

Kapitał zakładowy wynosił w r. 1873 rs. 6000; osób należących do spółki oprócz protektorki p. baronowéj Meller-Zakomelskiej i opiekunki p. Pauliny Kuczyńskiej, było 98. Obrót roczny przy powyższym kapitale wynosił rs. 21,661 kop. 74. W pracowniach spółki wyrabiano suknie i stroje kobiece, bieliznę, krawaty i rękawiczki, *a w małéj ilości obuwie i kwiaty*. Na rzecz spółki pracowało osób 61, którym wypłacono wogóle rs. 3,516 kop. 44; a zatym *każda z nich rocznie dostała przeciętnie rs. około* $57^1/_2$ *rocznie* czyli ok. 1 rubla i kop. 10 *tygodniowo*.

Przedmioty wykładane były następujące: buchalteryja, krawiectwo, robienie strojów, krój i szycie bielizny, fryzyjerstwo, introligatorstwo, krój i szycie rękawiczek. W ciągu roku 1873 pobierało naukę osób 75 (z tych płaciło 57 a uczyło się bezpłatnie jako spólniczki 18.)

Kapitał zaoszczędzony wynosi około 600 rs.; koszta administracyi obliczone są na rs. 1696. W sprawozdaniu nic powiedziano, czy administracyja jest w ręku samych kobiet czy nie.

Zarząd Spółki przyznaje, że dotąd działalność jego nie osiągnęła spodziewanych rezultatów; winę tego przyjmuje w części na siebie, tłomacząc się brakiem doświadczenia, po części składa ją na publiczność, która nie miała do Spółki zupełnego zaufania, i zamało była pobłażliwa. Wyznanie takie, zdaniem naszym, spowodowała konieczność. Widzimy bowiem ze sprawozdania, że nawet ta szczupła garstka kobiet, co pracę swoję Spółce ofiarowała, nie miała zapewnionego bytu. Jeżeli któś zarabia około rs. 1 kop. 5 *tygodniowo*, trudno, ażeby się mógł z tego utrzymać, trudno ażeby widział w Spółce ratunek dla siebie! Prócz tego *błędy* w administracyi, o które prasa peryjodyczna kilkakrotnie się upominała, o czym sprawozdanie jednak milczy, zrażały bardzo i badzo wiele osób.

Bądź co bądź, dobrze jest, że Zarząd otwarcie mówi o ujemnych stronach swojej działalności, bo możemy mieć nadzieję, że na przyszłość postara się je usunąć. Życzymy jak najlepiej Spółce i pragniemy jej powodzenia, ale pod tym warunkiem, ażeby działalność jej z dobrem społeczeństwa chodziła w parze. W sprawozdaniu czytamy zapowiedź o kilku ulepszeniach na rok bieżący. Jedno z nich polega na tym, że dotychczasowy wydział zaliczkowo-komisowy przemie-

Projekt pracowni naukowych prywatnych podaliśmy w jednym z numerów naszego pisma, w roku zeszłym. Pracowni takich powinno być wiele, bo chemik, fizyk, technolog i t. d. nic bez nich zrobić nie mogą. Mamy gabinet zoologiczny (otwarty raz w tygodniu); wstęp do niego dla uczących się zawsze powinien być wolny. Mamy przy uniwersytecie pracownią fizyjologii, histologii, chemii fizyjologicznej, anatomii patologicznej, a w nich uzdolnionych przewodników. W pracowniach prywatnych, przewodnikami takiemi mogą być ci specyjaliści, których była szkoła główna i uniwersytet obecny wykształcił. O pozwolenie założenia „Muzeum przemysłowego" podano prośbę do odpowiedniej władzy, która uwzględniając potrzebę tak pożytecznej dla miasta naszego instytucyi przyzwolenia nie odmówiła.

Biblijoteki i czytelni nie mamy żadnej — a przynajmniej przystęp do nich bardzo utrudniony. Wiemy jednak, że są ludzie możni, piękne posiadający księgozbiory. Gdyby szczęśliwie natchnięci myślą publicznego dobra, chcieli przyłożyć rękę do pracy dla jutra—toby ze składek można nająć odpowiedni lokal, urządzić szafy i według zamówień potrzebne książki z biblijotek prywatnych dostarczać do przeczytania w wyż wymienionym lokalu. Książka jest od tego, aby z niej korzystać, a jeśli pleśnieje na półkach, jest zmarnowaniem kapitału, rzeczą bez korzyści.

Takie książki popularne, systematycznie prowadzone odczyty są także potężnym środkiem szerzenia światła, i zdrowych przekonań naukowych i społecznych. Ustanowienie składkowych stypendyjów i wspieranie młodzieży kształcącej się na biegłych specyjalistów powinno być dzisiaj głównym zadaniem.

Przejdźmy do dobrobytu.— Jest faktem pewnym, iż ruch handlowy w Warszawie ciągle wzrasta. Stowarzyszenia, banki zaliczkowe, instytucyje kredytowe działają żywo, i tysiączne przynoszą korzyści. Wywóz wyrobów naszych do cesarstwa, jest daleko większy niż przed parą laty, a Warszawa jes doskonałym punktem handlowym, Warszawa może się stać kiedyś pośredniczką zachodniego przemysłu z przemysłem wschodu. Zachodnie gubernije cesarstwa przedstawiają znakomitą liczbę nabywców naszego towaru. Krawcy, fabrykanci męskiego i damskiego obuwia, stolarze, fabryki metalowych wyrobów (Fraget i inni), sklepy galanteryjne, fabryki narzędzi rolniczych, zakłady machin Lilpopa i t. d. — liczne zamówienia do cesarstwa otrzymują. Gdyby u nas rozwinął się duch stowarzyszeń, gdyby drobne kapitały umiano łączyć w większe spółki, przemysł rozwijałby się coraz więcej — a przy ułatwionej komunikacyi, jaka w skutek nowo mających się budować kolei nastąpi, moglibyśmy w krótkim czasie wcale dobrze stać finansowo.

Najgorzej idzie z rolnictwem i przemysłem rolnym i leśnym. Kwestyją tę poruszaliśmy w naszym piśmie w artykule „Bank Związkowy rolniczy".—Na prowincyi poczyna się ruch pewien w tym kierunku, ale słabo jeszcze. Przykład księstwa Poznańskiego, gdzie tyle przeróżnych zawiązuje się stowarzyszeń, powinien naszym rolnikom za wzór posłużyć. Kredyt rolny, to jedyna dźwignia gospodarstw wiejskich, bez niego będą one zawsze ofiarnym kozłem lichwy, dzięki niedołęstwu i niezaradności, szeroko u nas rozpowszechnionej. Zagrodzenie drogi lichwie, dobrze uregulowanym kredytem, skierowałoby kapitały zostające w rękach żydowskich na inną drogę. Przekupnie wzięliby się do przemysłu, a tym sposobem prócz korzyści dla kraju daliby możność bytowania specyjalistom, których do kierownictwa jakiejkolwiek fabryki zawezwać trzeba.

Kapitały te zwróciłby można na eksploatacyją górniczą — tak u nas zaniedbaną.— Skarby ziemi wyzyskują Niemcy, lasy niszczeją—fabryki terpentyny, smoły, kwasu drzewnego i t. d.— idą niedołężnie, bo najpierw brak pieniędzy, a powtóre ludzi przedmiot znających. Tymczasem podniesienie leśnego przemysłu, najpierw wstrzymałoby wywóz surowego materyjału za granicę, a powtóre, jako stokroć zyskowniejsze niż sprzedaż drzewa, zasilałoby kapitałem ziemian, gospodarzy i dawało możność polepszania kultury.

P. Sadowski w artykule „Drogi handlu zbożowego" zamieszczonym w II i III tomie pisma „Na Dziś" zwraca uwagę na kwestyją transportu zbożowego na targi zagraniczne, wykazuje całą niedogodność dzisiejszego systemu, i radzi założenie wielkiej spółki transportowej, któraby, zawiązawszy stosunki z portami handlowemi, mogła tak regulować wywóz z przywozem, żeby wagony towarowe zawsze były zajęte—i nie marnowały się daremnie. Według obliczeń autora 5% zyskiwałoby się na tym na czysto. Do ekonomistów naszych należy rozpatrzenie baczne biegu spraw dzisiejszych. Brakuje nam cyfr w zakrcsie handlu z cesarstwem, nie mamy wskazówek, gdzie mianowicie trzeba skierować usiłowania i jak poprawiać braki i błędy, narażające na stratę.

Oszczędność, oglądanie się na przyszłość, miarkowanie wydatków, jest u nas jeszcze mało zrozumianą prawdą. Ludzie możni marnują grosz lekkomyślnie, złota młodzież — brudzi tarczę herbową w kale rozpusty, urąga cieniom ojców, co może zakryliby twarz z boleścią patrząc na marnotrawnych synów. Szczęściem jednak sąto wyjątki. Otacza wprawdzie tych ludzi wielki rój służalców i zauszników, ale opinija rozumnego ogółu piętnuje ich wzgardą. Oszczędność, to także klucz do owej skrytki, gdzie dobrobyt gości — obyśmy nosili go zawsze przy sobie!

Przychodzimy nareszcie do siły fizycznej i moralnej.

Wielość jednostek czynnych zyskuje się wytrwałym a systematycznym wyrabianiem pojedyńczych ludzi na biegłych pracowników społecznej niwy.—Interes i ideja służą tutaj za najlepszych pośredników.—Stowarzyszenia wszelakie dają wyraźny dowód potęgi zbiorowej, przynoszą korzyść każdemu ich członkowi, a znaczenie i wpływy samej instytucyi. Interes i ideja łączą ludzi przeróżnych stanów, specyjalności i stanowisk.—W tym zbliżeniu rodzi się pewna zależność wzajemna, pewne oddziaływanie pod względem moralnym i społecznym—urabiają się pojęcia, wytyka kierunek — powstaje wspólny cel dążeń.—Słowem zyskują jednostki i ogół. Siła moralna, wyrażająca się pewnym zasobem zasad, wyniesionych z kółka rodziny—i następnie zbogaconych dalszym doświadczeniem, przestrzegana w zbiorowisku ogółu, zdradza się zawsze swojskim kierunkiem jego myśli, słów—i postępków.

Opiniją społeczną w każdym zakresie kierują ludzie zasłużeni lub niezasłużeni, będący rzecznikami ogółu, tłomaczami przekonań

---

ni się na *kasę pożyczkową*, która ma udzielać pożyczki na krótkie termina *wszystkim kobietom pracującym* za poręczeniem spólniczki lub uczestniczek spółki. Drugie ulepszenie dotyczy powiększenia przedmiotów wykładowych: ma być wprowadzony wykład *towaroznawstwa*. Kantor stręczeń ma także uledz reformie. Administracyja polepszy się zapewne również w skutek nabytego doświadczenia.

Spółka może liczyć na najszczersze poparcie, jeżeli zobowiązań swoich i obietnic ściśle przestrzegać będzie.

* * *

Prace zaznajamiające kobiety teoretycznie z robotami ręcznemi zaczynają się ukazywać na widok publiczny. Objaw-to niezmiernie pocieszający, gdyż dowodzi, że kwestyjami, dotyczącemi sprawy kobiecej, zaczynamy zajmować się na seryjo, już nie w szumno-brzmiących frazesach, ale w czynie. Notujemy tu książkę, wyszłą w roku zeszłym (w trzecim wydaniu) we Lwowie (u K. Pillera), której przedmiotem jest krawiectwo kobiece. Tytuł tej dwutomowej książki wypisujemy tu w całości, ażeby ci, którzy potrzebują takowej, znaleźli potrzebną informacyją. Jestto „Najnowsza i najpraktyczniejsza metoda kroju sukien damskich, przez Ksawerego Głodzienskiego, nauczyciela krawiectwa damskiego we Lwowie." Pierwszy tom obejmuje tekst, a drugi tablice z rysunkami. Oczywiście w krytykę tego dziełka wdawać się nie możemy, zwracamy tylko na nie uwagę.

* * *

Gdzieindziej praktyka nie pozostaje w tyle za teoryją. Kalendarz *dla kobiet* na r. 1874 wydany w Odesie (w jęz. rosyjsk.), stosownie do swego przeznaczenia zawiera wiele nader interesujących danych statystycznych pod względem kwestyi kobiecej, z których dowiadujemy się, iż w Odesie około 150 kobiet zajmuje się pracą biurową, a mianowicie: w biurze telegraficznym, w magistracie, na komorze celnej i w banku ziemskim.

* * *

Otrzymaliśmy list, ze stron dalekich, poruszający sprawę, która w Warszawie stała się przedmiotem licznych rozpraw ustnych a nawet piśmiennej szermierki. Podajemy go w całości:

„Przeglądając nowo wydany na r. 1874 Kalendarz Ilustrowany, w oddziale poezyi, doznaliśmy niemiłego wrażenia z powodu wierszyka pośmiertnego Syrokomli, tak sprzecznego ze zwykłym nastrojem jego lutni, taki dysonans stanowiącego w ogólnej harmonii jego utworów. Trudno pojąć doprawdy, co to jest? Jestże to gorzka ironija, czy coś w rodzaju anakreontycznym? Pod pierwszą czcióby było więcej łzę bolesną, druga szałem i upojeniemby się tłomaczyła... Zresztą, każdy człowiek żywo czujący a tym bardziej poeta,— poeta, w tak nieprzyjaznych warunkach zdrowia i bytu znajdujący się (jak był biedny Syrokomla) każdy miewa swoje chwile żółci, rozczarowania, zwątpienia o ludziach, o sobie samym, o tym, co mu jest najdroższym i najświętszym. W jednej z takich chwil mógł on nakreślić coś podobnego. Ale takie chwile przemijają, a później, spokojniejszym poglądem obejmując rzeczywistość, poeta sam wyparłby się zapewne strof, które mu zdradzieckie pióro w rozpaczliwej napisało chwili. Godziłoż się po śmierci ubliżać jego pamięci, wyciągając ten zatracony szpargał i ogłaszając publicznie to, co było wytworem chorobliwego stanu jego umysłu? Przypuszczamy, że dla przyszłości, dla historyi, potrzebnym jest ocenienie i ujemnych tak stron człowieka, który pismami swemi miał i mieć jeszcze będzie wpływ na naród,— w takim razie mógłby i ten wierszyk, obok innych fragmentów i waryjantów, z właściwemi komentarzami, być przechowany w jakim zbiorku osobnym i nie tyle poczytnym co Kalendarz obiegający kraj cały. Przypuszczamy także, że znajdzie się

wielości—lub też nie. Bądź co bądź każden, ogłaszający swe myśli drukiem, winien pamiętać co mówi, do kogo mówi, i gdzie mówi. — Prasa jest mieczem obosiecznym, którym wojować można i źle i dobrze—i pożytecznie i szkodliwie. Prasa jednakże ma przed sobą wielkie zadanie, ma długą a nadzwyczaj oględną i systematyczną pracę — bo szerzenie jasnych przekonań, słów zachęty, rad pożytecznych—udzielanie wskazówek, śledzenie baczne za wszelką szkodliwą lub pożyteczną okolicznością. Wpływ jej bywa nieraz naoczny. Inteligencyja to przodowniczka ludów, jej słowo, jej czyny są hasłem dla milijonów, dlatego też iść winna dziarsko, odważnie a z rozmysłem, żeby wobec sądów przyszłości stanąć z czystym sumieniem mówiąc — „zrobiłam co było można".

Przedmiot ten, w kwestyi pracy dla jutra u nas, ma znaczenie niezmierne; a jakkolwiek niby dobrze znany, uchodzi uwagi wielu. Powrócimy jeszcze do niego.

O leczniczych i ochronnych środkach domowych przeciwko chorobom.

Podług D-ra i Prof. **Bocka**

NAPISAŁ

Stanisław Wojciech Łukowski.

I.

(Dokończenie.)

Z ogromnej liczby chorób skórnych, różne formy i nazwy których przyprowadzają prawie do rozpaczy młodych lekarzy, a przez starszych empiryków uważane są przeważnie za suche lub mokre liszaje, pochodzące z ostrości krwi, większa część daje się wyleczyć łojem. Sprobujemy opisać tu treściwie choroby skórne, przy których niespecyjaliści mogą z korzyścią używać łoju.

Przedewszystkim, wypada wspomnieć o nadmiernej suchości skóry, zwykle zależnej od zmniejszonego wydzielania tłuszczowych i potnych gruczołów, a w wielu razach, od niedbałego postępowania ze skórą. Suchość ta, połączoną bywa z nieprzyjemnym uczuciem natężenia, stwardnienia, nierzadko i zimna, oraz z łatwym schodzeniem naskórka, i zdarza się głównie przy chronicznych chorobach skórnych i miejscowych potach. Dla usunięcia jej wystarcza częste wcieranie łoju, po uprzednim obmyciu skóry ciepłą wodą z mydłem. Damy z delikatną i cienką skórą, która pod wpływem zimnego, mroźnego powietrza łatwo staje się suchą i pęka, oraz praczki i służące, które często mają do czynienia z ługiem i mydłem, wogóle osoby z twardą, suchą, pękającą skórą na rękach, powinny wieczorem dobrze nacierać sobie ręce łojem, a idąc spać obwiązywać je lub wkładać rękawiczki z miękiego zamszu. Przy suchości skóry pokrywającej twarz, głowę i wogóle wszystkie pozostałe części ciała, należy również nacierać dobrze łojem odpowiednie miejsca.

Wobec nadmiernego wydzielania potu, czy to ogólnego, czy miejscowego, nacieranie łojem także przynosi korzyść. Powiększone wydzielanie potu, nie przejdzie zresztą od wcierań, jeśli jest skutkiem wewnętrznych cierpień. Przy miejscowych, często cuchnących potach, np. nóg i pod pachami, nierzadko po wyparowaniu potów, skóra pęka, staje się szorstką i twardą; podobna skóra ulega często zapaleniu i owrzodzeniu.

Wszystkie pomienione zjawiska, znacznie się zmniejszają od częstego nacierania łojem, lecz tylko wtedy, gdy jednocześnie zachowujemy potniejące miejsca w należytej czystości.

Przeciwko cuchnącemu potowi, wybornie pomaga przykładanie płótna, posmarowanego gliną lub łojem napół z gliną, albo też płótna zanurzonego w umiarkowanym roztworze kwasu winnego (około jednej części kwasu na 10 części wody). Przy mocnych potach z kwaśnym zapachem, zjawia się niekiedy drobna, swędząca, prosowata wysypka, którą najprędzej można usunąć przez nacieranie łojem. Przy powierzchownym zapaleniu skóry, bez względu czy ono zjawia się w skutek przyczyn zewnętrznych, pożyteczną jest wielce rzeczą smarować chore miejsce świeżym łojem, utworzy on bowiem miękką warstewkę, uśmierzającą ból i przeszkadzającą owrzodzeniu chorej skóry.

Do prostych wpływów zewnętrznych, zdolnych wywołać różowate zapalenie skóry, należą: wzajemne tarcie sąsiednich części skóry, długie leżenie, jazda konno i chodzenie, odpływ ostrych cieczy z przyrodzonych otworów ciała, działanie w wyższym stopniu gorąca i zimna, ukąszenie owadów. Jeżeli powierzchnia zajęta przez różowate zapalenie skóry jest znaczna, a chory przedtym miał zgagę, po której nastąpiło mocne gorąco, bó głowy, osłabienie, słowem stan gorączkowy,l to i w tym wypadku smarowanie miejsca chorego świeżym łojem jest bardzo pożyteczne. U dzieci dotkniętych płonicą (szkarlatyną), smarowanie całego ciała łojem wyświadcza szczególną korzyść.

Przy stanie bezgorączkowym, rozwijają się czasami na skórze to stwardniałe pryszcze, to wypełnione jasną lub posokowatą cieczą pęcherzyki; pryszcze te i pęcherzyki, pękając i wysychając wraz ze swą zawartością, tworzą łuszczki i strupy, pod klóremi chora skóra nie przestaje wydzielać jasnej cieczy, lub ropy, albo też gryzącej materyi. Tego rodzaju wysypki występują zazwyczaj na zapalnej skórze, w postaci plam zabarwionych na czerwony lub ciemno-czerwony kolor, pokrytych łuszczką lub strupami. Brzegi owych plam rozszerzają się coraz bardziej i niejako rozpościerają się na skórze. Wysypki pomienione noszą nazwę *liszajów*, którą otrzymały one w skutek zewnętrznego podobieństwa do liszajów drzewnych. Liszaje bywają suche i mokre. Według własności wydzielania mogą być: otrębkowe, łuszczkowate, strupiaste i gryzące. Wysypki te również najprędzej przemijają od świeżego łoju. Lecz aby kuracyja została uwieńczoną pomyślnie, potrzeba koniecznie zmoczyć i usunąć ostrożnie i łagodnie łuszczki oraz strupki, a następnie, smarować chorą skórę łojem, powtarzając też samę czynność nanowo, jak tylko pokażą się znów strupy.

Swędzenie skóry może być nadzwyczaj dokuczliwe; ogranicza się ono albo do pewnych miejsc (szczególniej w okolicy przyrodzonych otworów ciała), albo rozszerza po całej powierzchni skóry; otóż w pierwszym i drugim wypadku, łój łagodzi nieprzyjemne uczucie, a niekiedy nawet je usuwa. Lecz jeżeli swędzenie pochodzi z ukłócia owadów i wogóle z nieczystości, to przedewszystkim należy zniszczyć owady (za pomocą szarej maści, szarego mydła, olejku terpentynowego, ostrzyżenia włosów) i oczyścić skórę przez staranne i częste mycie lub kąpiele (obok nacierania jej szarym mydłem) oraz zmianę bielizny.

Użycie świeżego łoju jest także bardzo pożyteczne przy zabarwieniu twarzy, miano-

---

wielu, którym duch tego wierszyka nie wyda się tak wstrętnym, — którzy radziby zerwać z przeszłością i podeptać ją nogami, znajdując jej miłość zawadą dla postępu, — którzy widzą w niej samo złe tylko, nie kładąc nic na karb czasu, i innych warunków, dobrego zaś wcale nie uznają. Każdy ma swoje przekonanie; tyle już piór napsuło się w téj kwestyi, że niewarto na nowo rozpoczynać sprzeczki... Nastajemy tylko na to, że przekonania wyrażone w tym wierszyku i ogólny duch jego zupełnie są niezgodne z duchem wszystkich innych utworów Syrokomli, które cechuje właśnie głębokie, serdeczne zamiłowanie przeszłości. A zatym, albo wierszyki owe są zręcznie podrabiane, albo też dzieje się krzywda serdecznemu poecie, który całe życie „służył poczciwej sławie" w duchu zasad, które uznawał za dobre,—a tu dla jednéj chwili zapomnienia mogą mu wymawiać przeniewierstwo owym przekonaniom,— dzieje się też krzywda i społeczeństwu, które nigdy się gorzej nie demoralizuje, aniżeli wówczas, kiedy traci wiarę w swych wieszczów!" *K.*

P. Korotyński, niegdyś przyjaciel Syrokomli a zarazem obecny redaktor części literackiej Kalendarza, objaśnił publicznie, że wiersz jest autentyczny i że się w nim kryje ironija. Pierwszemu zapewnieniu nie możemy przeczyć; co do ironii zaś, to ta jest dość głęboko ukryta... W każdym wypadku podzielamy zdanie naszéj korespondentki, że nie należało wiersza owego publikować w *Kalendarzu*, który się *powiększéj części* dostaje do rąk ludzi nie zadających sobie trudu nad zbadaniem ukrytych myśli poety. W najgorszym zaś i ostatecznym razie potrzeba było ten wiersz nieszczęśliwy (niestety, nawet pod względem formy!) opatrzyć stosownym komentarzem.

* * *

W ostatnim numerze naszego pisma narzekaliśmy na niezaradność i apatyczną wegietacyją Kuryjera Lubelskiego; dzisiaj możemy zaznaczyć słabiuchne drgania życia. Wprowadzoną została do pisma nowa rubryka, coś w rodzaju kroniki i feljetonu zarazem. Program tej pogadanki przedstawia się nader sympatycznie. Czytamy tu: „Każdy objaw naszego życia skwapliwie będzie notowany, fakt mający cechy ogólnego pożytku, myśl dobra i zacna, zajęcie się interesem społecznym: wszystko to znajdzie u nas zasłużone poparcie, słowo życzliwej zachęty i uznania. Każdy błąd (nie osobisty lecz ogólny) nie uniknie z pewnością satyry i wyśmiania, gdyż ta broń nader skutecznie działa niekiedy. Każda kwestyja przez kogokolwiekbądź z członków naszej społeczności poruszona, znajdzie dla siebie miejsce w szpaltach naszego pisma; przytym winniśmy dodać, że, wytknąwszy sobie za jedyny cel dobro ogółu i prawdę, musimy raz na zawsze zatknąć uszy na wszelkie zakulisowe odgłosy tych, którzyby interesa ogólne *do* (chyba *podług*) osobistych widoków regulować pragnęli." Cel bardzo piękny, i nawet gładko i potoczyście wypowiedziany; oczekujemy śladów jego urzeczywistnienia. Z piérwszej próby nie chcemy brać miary, gdyż ta może być zawodna. I dlatego, jakkolwiek w N-rze 5 Kur. Lub. jedynym zanotowanym faktem jest wiadomość o koncercie, reszta zaś zapełniona ogólnikami, możemy miać nadzieję, że na przyszłość będzie lepiej.

* *

Tygodnik Rolniczy w jednym z ostatnich swych numerów oświadcza, iż napróżno odzywał się do Instytutu Agronomicznego w Nowej-Aleksandryi z prośbą o udzielanie sprawozdań z postępu nauki rolniczej i odbywanych w instytucie doświadczeń. Przypuszczamy, są słowa Tygodnika, że kierownicy młodzieży naszej rolniczej w instytucie agron. pomieszczonej, zajęci pracami naukowemi, nie mają dosyć czasu do pisania

wicie u osób dorosłych (pryszcze, węgry, łojowe i tłuszczowe guziczki); w tym celu potrzeba wieczorem smarować twarz łojem, a rano wycierać ją miękkim płóciennym gałgankiem, i zamiast mycia, skrapiać tylko ciepłą deszczową lub rzeczną wodą, unikając wody gorącej lub zimnej z mydłem.

Przy powierzchownych oparzeniach skóry, sprawiających jedynie zapalenie (zaczerwienienie z paleniem i bólem miejscowym), czy też przenikających głębiej i wywołujących pęcherze oraz strupy, przykładanie cienkich szmatek płóciennych, posmarowanych grubą warstwą zimnego świeżego łoju, bywa daleko korzystniejszym od wszelkich maści przeciw oparzeniu wyrabianych. Lecz przedtym można zmniejszyć ból i palenie za pomocą zimna (zimnej wody, śniegu, lodu). Leczenie i zapobieganie odmrożeniu członków daje się również osiągnąć przez smarowanie łojem.

Miejsca zranione (ropiejące) na skórze, leczą się bardzo dobrze przez pokrycie szarpią lub miękkim płótnem, posmarowanemi świeżym łojem; należy jednak miejsca te poprzednio obmywać często ciepłą wodą i oczyszczać ostrożnie, jak przy wysypkach skórnych z łuszczkami i strupami, od otaczających je skrzepów i strupów.

Wogóle, w praktyce mojej (słowa doktora Bock'a) osiągnąłem wiele świetnych wyleczeń, jedynie za pomocą samego łoju wołowego lub baraniego; mimo to, osoby wyleczone przezemnie, nie przyznawały pomienionemu środkowi leczniczemu tej wartości, na jaką on rzeczywiście zasługuje. Z takim uprzedzeniem, zapewne i czytelnicy niniejszego artykułu, zapatrywać się nań będą: boć „łój jest zbyt prostym środkiem." Skoro tak, to niechże go zastąpią jakim maczkiem homeopatycznym, albo też wypiszą z apteki, pod nazwą: lwiego, niedźwiedziego, borsuczego, psiego, a może nawet i oślego tłuszczu...

NIEZNAMIEROWICE I STUDZIANNA.

PRZEZ

Kornelego Kozłowskiego.

(Dokończenie).

Jan Zbąski, późniejszy biskup warmiński, którego młodość—jakeśmy to opowiedzieli—zeszła w Nieznamierowicach pod dachem Starołęskich, poświęciwszy się stanowi duchownemu, szybko postępował po szczeblach dostojeństw kościelnych i znaczenia. Był już dziekanem łowickim, kustoszem sandomirskim, gnieźnieńskim i warszawskim kanonikiem, a niedługo, zanim do wyższych jeszcze doszedł dostojeństw, został nominatem biskupem przemyskim oraz opatem sulejowskim.—Wychowany przez matkę religijnie, serce miał czułe, w którym tkliwą pamięć matki i lat młodzieńczych, pod okiem jej spędzonych, do końca życia przechowywał. Modlitwy jej codziennie przed obrazem św. Rodziny zanoszone, (w których sam uczestniczył), żywo utkwiły mu w pamięci,—przytym był pełen cnót chrześcijańskich, skromności w obyczajach, wstrzemięźliwości w życiu nieposledniej. Tradycyja o nim dochowała, że wina wcale nie pijał, co, jak na owe czasy u nas, dowodem było rzadkiej stałości charakteru i mocy nad sobą. Pełen zacności człowiek, czuły syn, przykładny ksiądz, powziął pobożną myśl, ów święty obraz, z którym wiązały się jego najtkliwsze wspomnienia dziecinnych lat i pamięć matki ukochanej, wynieść ku czci pobożnych na ołtarz świątyni, którą w Studziannym miał zamiar wybudować. Był panem fortuny znakomitej, a obok majątku ojczystego, w pomoc jego zamiarom przychodziły dochody z bogatych beneficyjów, jakie natenczas już posiadał.

Skoro zatym pomiędzy ludźmi coraz głośniej i szerzej słynąć zaczęły cuda u obrazu w Studzieńskim dworze znajdującego się doznawane, za staraniem Zbąskiego, natenczas archidyjakona gnieźnieńskiego, wyznaczoną została w roku 1671 Komisyja dla zbadania takowych, która przybywszy na miejsce do Studziannego, czynność swą w dniu 3 Lutego rozpoczęła od wybadania świadków, zeznania swe pod przysięgą składających. Świadków powołano 25, między którémi Zbąski historyją obrazu treściwie opowiedział. Co zaś do cudowności jego zeznał, iż sam wprawdzie żadnej osobliwej łaski u obrazu tego nie doznał, tylko matka jego szczególne do obrazu tego miała nabożeństwo—i on sam *sine compunctione cordis* (bez serdecznego wzruszenia) nie mógł nań patrzeć.

Następnie zjechał tu osobiście arcybiskup prymas Prażmowski i w dniu 28 marca tegoż roku 1671 wydał w Studziannym dekret zaświadczający cudowność obrazu tu znajdującego się.

Zaraz też rozpoczęto budowę kościoła na wyniosłości piaszczystej, *Górą dziewiczą* powszechnie nazywanej. *Lenartowicz* w poemaciku p. t. „Najświętsza M. P. Studziennicka" ślicznie opowiedział tradycyją do miejscowości tej przywiązaną, którą pozwalamy sobie tu powtórzyć:

Był pagórek piaszczysty, na nim każdej wiosny,
Złociły się dziewanny i szumiały sosny.
Na to wzgórze przed laty, trzy dziewczątka młode,
Co w dzień świąteczny poszły tańczyć na gospodę,
Nagabane przez dzikie żołnierstwo pijane,
Schroniły się pod sosny śnieżycą owiane;
Spoczęły w śniegu, dłońmi wzajem się objęły,
Płakały długo, ciężko—i wreszcie zasnęły;
Zasnęły, lecz się więcej nie ockły na ziemi,
Śnieg usypał wysoką mogiłę nad niemi,
Miesiąc chłodny posrebrzył świecąc nad dąbrową,
A sosna zaśpiewała głuchą pieśń grobową.

Nie wiedziano, gdzie znikły, szukali daremnie;
Od czasu jak do karczmy pobiegły w noc ciemną,
Nie powróciły więcej owe panny młode,
Znikły, przepadły, jakby kamień rzucił w wodę;
Aż dopiero gdy słońce w górę się wybiło,
Ognistemi promieńmi mogiłę odkryło,
Wtedy się pokazały, śród śnieżnej zamieci,
Ciche, senne pod sosną, jakby śpiące dzieci;
Śniegi, co je okryły, z chwilą poznikały,
Tylko jeszcze łzy zmarzłe na rzęsach jaśniały.
Na tym samotnym wzgórzu grób im wykopano,
I na pamiątkę Górą Panienek nazwano.

Prócz znakomitych funduszów wydzielonych przez samego Zbąskiego i siostrę tegoż przyrodnią Zofiją Starołęską, posypały się też liczne składki, ofiary i wota. Jeden np. ze szlachty okolicznej, Wąsowicz ze Smogorzowa, sprawił lampę srebrną, dwa łokcie wysoką, który to dar był tyle głośnym, iż jeszcze w lat kilkadziesiąt potym, Niesiecki w herbarzu swym go zapisał.

Do tych pobożnych ofiar osób prywatnych, przyłączyły się i stany Rzeczypospolitej. W roku 1673 wydzielono z dóbr królewskich do fundacyi Zbąskiego wieś Małoszyce, z uwolnieniem takowej od wszelkich egzekucyj, hybern, przechodów, stanowisk i t. d.—a także od osepów i czynszu królewskiego [1]).

[1]) Voll. leg. 5 fol. 109.

---

odpowiednich sprawozdań, ale nie możemy przypuszczać, ażeby pomiędzy uczniami wyższych kursów nie znalazł się ani jeden, któryby zdołał (lub chciał) przesyłać odpowiednie materyjały mogące posłużyć do wyrobienia pojęcia o stanie naukowo-praktycznym gospodarstwa na gruntach do rozporządzenia instytutu oddanych. Ha, rzeczy nieprawdopodobne, bywają jednak czasem prawdziwe.

* * *

Podobno niezależnie od mającej się wkrótce otworzyć szkoły technicznej dla rzemieślników i robotników warsztatowych Drogi Żelaznej Warsz. Wied. zarząd tejże drogi zamierza założyć szkółkę elementarną, w której pobierać będzie początkową naukę najmłodsze pokolenie pracowników.

* * *

Kilku ze światlejszych duchownych dyjecezyi lubelskiej powzięło myśl urządzenia w każdym dekanacie biblijoteki do użytku księży przeznaczonej. Dobrzeby było, ażeby i inne dyjecezyje poszły za tym przykładem, bo nie należy zapominać, że oświata księży, to oświata ludu...

* * *

Znakomite dzieła Quetelet'a „Du système social i La physique sociale" znalazły tłomaczów w kółku studentów naszej Wszechnicy. Spodziewamy się, że nowoourganizowane spółki wydawnicze postarają się o nabycie tych szacownych dzieł, przetłomaczonych już na wszystkie europejskie języki. Trudno się bezwątpienia zgodzić na teoretyczne wywody brukselskiego statystyka, ale z pracowicie nagromadzonego materyjału trzeba skrzętnie, korzystać; można być jego przeciwnikiem ale trzeba go znać. Niejesteśmy zdania tych, którzy powiadają, że takie dzieła jak Queteleta czytać powinni tylko ci, co język cryginału posiadają. Że w praktyce dotychczas tak bywa;—nie przeczymy ale czy tak być *powinno?* Czy nie potrzeba nam mieć wszystkich utworów naukowych w naszej własnej mowie? Czyż mamy zawsze tracić czas na uczenie się kilku języków obcych? Jeżeli będziemy posiadali u siebie literaturę naukową (z początku tłomaczoną po większej części), to konieczność mozolnego uczenia się języków obcych zmniejszać się musi i tym sposobem będziemy mieli więcej czasu na studyja i badania oryginalne....

* * *

P. *Emil Godlewski,* wychowaniec byłej Szkoły Głównej, a teraz asystent przy katedrze botaniki we wszechnicy Jagiellońskiej, pomieścił w czasopismie „Flora" rozprawę: „o stosunku ilości kwasu węglanego w powietrzu do tworzenia się mączki w chlorofilu". Wykazuje w niej, że bez przystępu kwasu węglanego nie tworzy się mączka w chlorofilu, a oprócz tego dochodzi do kilku innych wniosków, bardzo ważnych dla specyjalistów. Rozprawa ta jest ważnym przyczynkiem do fizyjologii roślin.

* * *

Rok temu blisko święciliśmy z taką radością i zapałem 400letnią rocznicę urodzin największej gwiazdy narodowej, Mikołaja Kopernika. Chciwość niemiecka, chciałaby i tę znakomitość naszę zaanektować jak swoję,—więc staraliśmy się uroczystości nadać jak najpowszechniejszy rozgłos, aby wymowny dać dowód światu, iż umiemy czcić jak należy znakomitego męża. Warszawa spokojnie i poważnie obchodziła dzień 19 Lutego; złożyliśmy na skroni mędrca naszego wieniec laurowy, czcząc gienijusz w cichości własnego ducha; również i prowincyjonalne miasta, stosownie do tego, jak które mogło, przyczyniły się do obchodu; jednym słowem, złożyliśmy wszyscy w dani cieniom Kopernika to, na co nas stało. Ale rzuciwszy astronomowi pod nogi wieńce i kwiaty, sami czuliśmy dobrze, iż nie wypełniamy wszystkiego, czego od nas pamięć jego żądać może; sami czuliśmy, iż należy czymś

W trzy lata po rozpoczęciu budowy kościoła Studzieńskiego w r. 1674, Zbąski wysłany przez króla Jana III, był w Rzymie na legacyi. Zajęty sprawami publicznemi, nie zapominał jednak o pobożnej intencyi, czyniącej zadość potrzebom jego serca. Pragnąc osadzić w Studziannym zakonników; „radził się —jak opowiada tradycja— ojca św. Klemensa X na audyjencyi, jakiegoby zakonu księży wprowadzić, dla rozmnożenia chwały boskiej; przy tej rozmowie wszedł papieski spowiednik z oratoryjum kongregacyi rzymskiej św. Filipa Nereusza, na którego obróciwszy oczy ojciec św., do Zbąskiego rzekł te słowa:

— Życzyłbym tych ojców wprowadzić na tamto miejsce święte.

Podziękowawszy tedy Zbąski za radę ojcu św. zaraz wyprawił przywilej od tegoż papieża r. 1674 d. 14 grudnia — i wprowadził do Studziannego kongregacyją Oratoryi Św. Filipa Nereusza."

Na tym jednak kończą się nasze wiadomości bardziej szczegółowe o Studziannym, któreśmy poczerpnęli głównie ze starej książki, jedynej jaka przypadkowo, z licznej kiedyś biblijoteki księży Filipinów tu pozostała.— i jest w posiadaniu teraźniejszego proboszcza w Studziannym, księdza Bernatowicza [1].—

[1] „Zbiór dobroczynności złask ludowi chrześciańskiemu okazanych przy cudownym obrazie Jezusa Maryi y Józefa świętego, w Kościele Studziańskim Dozorowi kongregacyi Filipa Neryusza powierzonym. Łaskami y cudami nietylko krajowi naszemu, ale y cudzoziemskim Narodom przyświecającym. Powtórnie na gorliwe proźby pobożnego obywatelstwa do druku podany za pozwoleniem zwierzchności, w Łowiczu 1776, w Drukarni J. O. X-cia Jmci Prymasa... Arcybiskupa Gieźnieskiego."

Na drugiej karcie: herby Saryusz i Trzaska, z panegirykami: „Na herbowne klejnoty domu WW. Zakrzewskich".

Na trzeciej karcie przypisanie: „Wielmożnemu Jmci panu Zakrzewskiemu Stolnikowi Wendeńskiemu panu y Dobrodzieiowi." —podpisany: X. Kazimierz Przybylski prob. kongreg. studzian. mpp.

Poczym: „Informacya o cudownym obrazie Studziańskim Jezusa, Maryi y Józefa Świętego" etc.

Potym idzie przemowa: „Do Czytelnika".

Nakoniec zbiór cudów alfabetycznie ułożony:

A. Apoplexya uleczona. —Apostata do Wiary Ś. nawrócony.

B. Batalią odprawuiący zdrowo bez szwanku z tey wychodzą.— Białogłowy przy połogu cudowny odbierają ratunek.—Boleści wnętrzne ustają.

C. Chorągwie z oblężenia nieprzyjacielskiego wolne. — Cieczenie gwałtowne krwi ustaje. Ciężarem poderwani cudownie przychodzą do zdrowia. i t. d.—

Daremne były usiłowania, ażeby coś więcej tu wynaleść,—żadnych papierów w miejscu, żadnego nawet śladu piśmiennego, że przez dwieście lat blisko przebywało tu bogato uposażone zgromadzenie zakonne!...

Wiemy przecież, że pobożności ojców naszych, która je tu sprowadziła, równą była i hojność, z jaką klasztory opatrywano,— więc też i kongregacyja w Studziannym znakomicie była uposażoną. Prócz poświętnego, na którym znajdował się duży folwark, i wsi Małoszyc posiadała jeszcze dwa inne folwarki: Brzuzę i Idzikowice, a nadto rozrządzała kapitałami, na które składały się tak dochody z uposażenia stałego, jak może więcej jeszcze pieniądz, w ofierze z pobożnych rąk bezustannie płynący w czasie większych i mniejszych odpustów, których 23 do roku się tu obchodzi. Kapitałami robiło zgromadzenie obroty, które jeszcze bardziej zwiększały jego mienie. Tak np. w r. 1699, we dwadzieścia pięć lat po sprowadzeniu swym do Studziannego, było już zgromadzenie dość bogatym, ażeby wziąć od Aleksandra Lipskiego, wojewody kaliskiego, zastawem, w sumie złp. 30,000 dobra jego Odrzywół i Wysokin, która to suma podniesioną później została do 50,000 złp.—i w takowej dobra rzeczone trzymało zgromadzenie aż do r. 1765.

Wzniesienie wspomnianej świątyni, ustanowienie licznych odpustów, rozgłos cudów— i mnóstwo pielgrzymów, kompanijami z dalekich okolic kraju się tu schodzących, wpłynęły też niemało i na podniesienie się samej miejscowości. Studzianne zabudowało się też porządnie w kształcie miasteczka, a nawet używało przez pewien czas miana i przywilejów miejskich, oraz wszelkich rzeczywistych korzyści miejsca, będącego targowiskiem dla licznej ludności napływowej. Dziś jeszcze, obszerny plac przed kościołem, w dni odpustowe, przedstawia widok bardzo ożywiony targowiska, na którym nietylko medaliki, obrazki i pierścionki, ale żywność i rozmaite artykuły gospodarstwa domowego naszych włościan, bardzo korzystny i znakomity odbyt znajdują, stąd też i żydki z okolicy, pilnie Studzianne w czasie odpustów nawiedzają.

Rok 1865 ostatnim był dla zgromadzenia Studziańskiego;—klasztor został zniesiony.

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Z Petersburga.

(Dokończenie.)

W końcu listopada przytrafił się między Kronsztadem i Oranijenbaumem wypadek, który omal że się nie skończył tragicznie. Kolej żelazna przywiozła koło 7-ej godziny wieczór pasażerów z Petersburga do Oranijenbaumu. Część ich udała się w saniach i powozach do Kronsztadu. Noc była burzliwą, wiatr wył wściekle i zabijał oddech, a zawieja była tak wielką, że o dwadzieścia kroków nic już widzieć nie można było. Pasażerowie przywykli do tego rodzaju wycieczek śmiało puścili się w podróż. Sanie szły powoli. Nareszcie na horyzoncie odrysował się port wojenny Kronsztadu i wszyscy byli pewni, że już dobijają do celu i że wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Lecz nagle jadący naprzód stanęli. Spostrzegłszy przed sobą oparzysko, woźnicy wzięli się do ułożenia zwykle w takich razach używanych mostków, lecz jakież było ich przerażenie, kiedy smuga wody oddzielająca ich od przeciwległego lodu coraz więcej się powiększała. Wówczas zaledwie domyślano się, że sanie znajdują się na lodzie oderwanym od kronsztadzkiego brzegu i że wiatr go gdzieś unosi w morze. Trudno opisać przerażenie pasażerów! Smuga coraz się powiększała, brzeg się oddalał, a koło nich wrzało morze gotowe co chwila ich pochłonąć. Przerażenie zmieniło się w rozpacz, gdy nagle lód pękł na połowę i na jednym jego kawałku zostało 19, a na drugim 12 sań i wozów. Rozłąka z towarzyszami nieszczęścia, niewiadomość o ich losie, przeciągłe okrzyki i jęki rozpaczy zagłuszane wiatrem i szumem fal przedstawiały w istocie rozdzierający duszę widok! Lód, na którym było 19 sań, został wiatrem napowrót do Oranijenbaumu odpędzony. Po dość długim pływaniu, wiatr go przybił do brzegu, ale nie niebezpiecznie. Jakowlew zaś złamał obojczyk i ciężko pokaleczony.

trwalszym upamiętnić obchód. To też postaraliśmy się o pozwolenie zbierania składek na stypendyjum Kopernika i pozwolenie to udzielonym zostało. Red. Tygodnika Ilustrowanego wystąpiła rok blisko temu z gorącą o składki odezwą i w skutek ciągłych przypominań, zebrała dotąd rs. 4,671. Aby stypendyjum można było ustanowić, potrzeba najmniej 6,000 rs.; od tych dopiero pieniędzy procent wystarczy na utrzymanie jednego stypendysty. Otóż odzywamy się i my z naszej strony do was, czytelnicy, z prośbą o ofiary. Nadsyłajcie je na nasze ręce, a my to, co od was odbierzemy, Redakcyi Tygod. Ilustrowanego prześlemy, dla dołączenia do głównych zbiorów.

Nie skąpmy grosza tam, gdzie skąpstwo na złe nam wyjść może, świadcząc o naszej niedojrzałości.

Okażmy światu, iż oprócz słów i kwiatów, mamy dla naszych gienijuszów i piękne czyny; dajmy mu nowy dowód naszej szczerej ofiarności na rzeczy użyteczności publicznéj.

Przytym donosimy, wam czytelnicy, iż niezadługo jeden z wychowańców tutejszego uniwersytetu, p. D., mieć będzie odczyt publiczny, z którego całkowity dochód przeznacza na powiększenie funduszów stypendyjum Kopernika.

Oby praca jego pomyślnym uwieńczoną została skutkiem!

* * *

Piszą nam z *Krakowa*: 8 Stycznia stał się tu okropny wypadek. Pan Wielogłowski, dziedzic Michałowic, na saméj granicy Królestwa i krakowskiego, jechał z żoną i p. *Jakowlewem*, urzędnikiem komory celnej w Michałowicach do Krakowa. Sam Wielogłowski siedział na koźle i powoził. W powozie siedziała jego małżonka i p. Jakowlew. Przyjechali na rogatkę warszawską kolei żelaznej między 8 a 9 wieczorem, aż tu rogatka zamknięta. Czekają kwadrans, dłużej, a mróz dokuczający, zniecierpliwieni proszą, wołają, ażeby rogatkę otworzono. Jakoż wychodzi jakiś starszy urzędnik i każe podnieść rogatkę. Rusza więc powóz, który przed niemi przyjechał, a oni za nim. Pierwszy powóz szczęśliwie przeszedł, a gdy drugi stanął na relsach, nadbiega lokomotywa z czterema wagonami i tak silnie uderza w powóz, że przednie koła z końmi odlatują gdzieś na stronę, reszta zaś powozu przewraca się i druzgocze, Jakowlew wylatuje, a sama pani dźwiga na sobie ciężar lokomotywy i czterech wagonów. Żyła wszakże jeszcze więcéj niż dwie godziny. Sam Wielogłowski ranny, ale nie niebezpiecznie. Jakowlew zaś złamał obojczyk i ciężko pokaleczony.

W sobotę był pogrzeb pani Wielogłowskiej z domu hrabianki Sołtyk, 22 letniej, pięknej, światłej, dobroczynnej kobiety, od dwu lat zaledwie mężatki, matki dwojga dziatek.

Tegoż wieczora wieść ta okropna rozbiegła się po mieście, — najtwardsze serce nie mogło się nie poruszyć na ten szalony, wściekły wybryk losu. Tak ją powszechnie kochano i szanowano. W sobotę niemal cała ludność wysypała się na jej pogrzeb. Na rękach zaniesiono ją na cmentarz. Nieszczęśliwy mąż i p. Jakowlew jeszcze ciężko chorzy. O życiu ostatniego jeszcze nic pewnego powiedzieć nie mogę.

Osobna komisyja z Wiednia już tu przybyła dla wyśledzenia tego okropnego wypadku.

* * *

Drugi w tym roku odczyt popularny dla rzemieślników (cena kop. 5) wypowiedział p. Milicer: „O węglu, jego własnościach i użytkach." Byłato dopiero połowa opracowania obranego tematu; w przyszłą niedzielę ma być jego dokończenie. Osób znaczna zeszła się liczba.

gu, na którym stosy lodu, nagromadzone burzą, czyniły go prawie niedostępnym. Pasażerowie jednak chociaż z trudnością przebyli te góry i uwiadomili kogo należało o nieszczęściu grożącym ich towarzyszom. Reszta zaś sań i wozów została na odłamku lodu, płynącym przez drogę zrobioną na morzu, dla przejścia parochodów. Położenie było okropne! Wiatr obalał z nóg stojących na lodzie ludzi, sanie i wozy same się toczyły. Probowano w kilku kierunkach podjechać, aby natrafić na przytykającą do brzegu stronę. Napróżno! Naokoło groźne, szumiące morze! Nareszcie skierowawszy się w stronę Peterhofu spostrzegli, że smuga wody dzieląca ich od brzegu zwęża się i że tuż,—tuż odłamek lodu przymknie do stałego lądu. Wszyscy rzucili się w tę stronę, ażeby jak najbliżej być brzegu. Lodowe masy nareszcie złączyły się—jeden koń z jeźdźcem zdołał przeskoczyć na tamtę stronę, a resztę wiatr znowu uniósł na morze. Lecz wkrótce przepaść się związała—odłamek został wiatrem mocno do brzegu przybity—i pasażerowie chociaż z niebezpieczeństwem narażenia życia zdołali jednak popółnocy dostać się na stały ląd.

Zapewne ciekawi jesteście wiedzieć, jakie ma powodzenie w tutejszej operze włoskiej słowik warszawski pan File*boni*. Zmiana nazwiska każdego kto o tym wie—dziwi. Zmieniając końcówkę *orn* na *oni*, pan *Fileboni* nie przestał być dla znających go choćby z nazwiska *Filebornem*—dla tych zaś, co go nie znają nawet z nazwiska, a takich tu więcej—wszystko to jedno. Otóż słyszeliśmy rozmaite o nim zdania—jedni mówili że w Moskwie był wygwizdany, drudzy że zachorował—nikt jednak, a nawet gazety tutejsze nie mówiły, jak też śpiewa ten pan Fileboni, który po powrocie z Moskwy występował tu w Trawiacie i nareszcie w sobotę widzieliśmy go w komicznej roli tchórzliwego pastucha w operze Mejerbeera *Dinorah*. Wyraziłem się, żeśmy go *widzieli*, i słusznie, bo głos jego choć miły, dźwięczny i sympatyczny, ginął w sali i przy ogromnej orkiestrze. Grą swoją pan Fileborn nie psuł całości—śpiew jego nie wywołał oklasków, ale też nie słyszeliśmy złowrogiego sykania. W operze tutejszej podjął się śpiewania partyj drugorzędnych i według naszego zdania jest tu na swoim miejscu.

Pomimo krótkich, pochmurnych dni, mamy obecnie kilka wystaw, jak: Wystawa obrazów pana Ajwazowskiego; Wystawa rzeźbiarzy ruskich; Wystawa szkiców i rysunków znakomitego malarza Makowskiego, i nakoniec Wystawa w Akademii sztuk pięknych obrazów ubiegających się o piérwszą nagrodę uczniów tejże akademii. Młodzi artyści na zadany przez zwierzchność akademicką temat, przedstawili idealnie pięknego „Dawida grającego na arfie przed Saulem" —kiedy „duch pański zły nawiedzał go." Każdy z nich starał się uidealizować postać Dawida, a twarzy Saula nadać najdzikszy wyraz. Obrazy te, robione na efekt, połyskują jaskrawością kolorów i ozdób—ale nie uderzają niczym. Jeden z nich tylko, który nie dostał nagrody—ale został zaraz przez kogoś zakupiony—odznacza się oryginalnością pomysłu. Zamiast idealnych postaci—artysta przedstawił na szarym tle jakiegoś na pół ciemnego pokoju—lochu lub podziemia Saula leżącego, a raczej rzuconego na zbitym z prostych desek tapczanie. Saul prawie nagi, leży w postaci jak gdyby go jakiś wybuch wściekłości obezwładnił. Oczy miotają skry, muszkularne ręce zaciśnięte... dziryt na pół utkwiony w ścianie a obok przerażona twarz Dawida, pokrytego łachmanami. Pędzel śmiały, koloryt dobry, a chyciaż całość na niedokończoną wygląda, wnosić jednak można, że artysta (Ziazia), jeżeli nie będzie się starał jedynie o dogodzenie panującym gustom, może mieć przed sobą świetną przyszłość.

Na zakończenie doniosę wam, że w ostatnim N-rze tutejszej „Ilustracyi", znajduje się reprodukcyja obrazu Gersona „Kiejstut i Witold", który był w przeszłym roku na tutejszej wystawie, potym zaś odesłany został na wystawę do Wiednia. *M.*

CZARNY LAS.

Czarny las! Ileż wspomnień, obrazów i myśli nasuwają te dwa słowa tym, którzy już żyli, uczyli się i myśleli! Jestto najprzód nieokreślone, prawie pociągające uczucie melancholii i trwogi. Las, jak go sobie zwylke wyobrażamy, jest tajemniczy, samotny i uroczysty; jestto przysionek ciemny i nieznany, gdzie Dante spotyka przewodnika z gałązką świętą, który go prowadzi do piekieł. Ale do tego słowa las dodajmy przydomek „czarny", a złudzenie dopiero będzie zupełne, wrażenie porywające; cały świat tajemnic, okropności i ciemności rysuje się wyraźnie, choć pod zasłoną i okazuje się nagle naszym oczom. W myśli przedstawiasz sobie obraz starożytnych miasteczek, ruin zamków, mocnych wieżyc piętrzących się dumnie na szczytach skał, lub wznoszących się nad przepaściami; ponury i spokojny krajobraz skalistych gór, ciemnych dolin, czarnych drzew, zimnych źródeł bijących o granitowe ściany, wodospadów, wytryskujących u stóp olbrzymich modrzewiów. Dalej wyobraźnia zaludnia tę pustynię, to liczną zgrają myśliwych na czele jakiego burgrafa zapuszczających się w gęstwiny; gdzieindziej jaką pobożną procesyją zakonników snujących się pod sklepieniem starego klasztoru; dalej jaką piękną panią zamku wesołą lub smutną, jaką nimfą spacerującą po lesie, jaką zrozpaczoną ondyną, podnoszącą na chwilę wody Neckary albo Murgi, aby zerwać parę kwiatków rosnących na brzegu, i suszyć swoje piękne blond włosy na słońcu; nakoniec jakim feodalnym rozbójnikiem, jakim chciwym i przewrotnym udzielnym baronem, rabującym kupców, plondrującym w dolinach, lub w czasach dzisiejszych—jakim zwyczajnym wyrzutkiem społeczeństwa, wyciągającym sakiewki, a nieraz odbierającym życie zapóźnionym podróżnym.

Wszystko to rzeczywiście istniało w dawnych czasach w tym lesie; dziś jest on spokojnym, pasterskim, uśmiechniętym, przemysłowym; życie w nim płynie jednostajnie, bez wielkich niepokojów i przykrości, w cieniu olbrzymich jodeł, przy miłym i monotonnym szmerze potoku, przy srebrzystym odgłosie dzwoneczków uwieszonych na szyjach krów, lub echu dzwonnicy kościoła. Czym dla niego będzie przyszłość? Nie chcemy myśleć o tym! Może przez tę dumną i szlachetną ziemię będą jeszcze przechodziły armije. Na tej ziemi, na której kiedyś zginął Turenijusz, może znów się odezwą zwycięskie okrzyki. W cieniu tych gór, na brzegach tych rzek, ileż się odbyło bitew, ile zmian i wywrotów zupełnych i nagłych zaszło! Historyja o tym nie jednę kartę zapisała! Zacznijmy i my od poważnego i użytecznego, pozwólmy mówić historyi i nauce.

Czarny- las (po niemiecku Schwarzwald), znany był za czasów Rzymian Germanika, Druzusa i Tyberyjusza, pod nazwiskiem lasu Marcyańskiego. Dziś pod imieniem Czarnego- lasu rozciąga się równolegle do pasma gór Wogeskich na 12 mil odległości. Ren otacza go swym ramieniem od Szafhuzy do Bazylei, a ztąd do Manheimu. Na północ i w części na zachód oblewa go rzeka Neckar, która początek bierze w tych górach niedaleko zródeł Dunaju. Najwyższe jego szczyty, urwiska i skały najdziwaczniej pozawieszane znajdują się na południe i wschód. Na północ koło Pforzheimu góry się zniżają i formują już tylko ciąg pagórków wężykowatych, wznoszących się bliżej Neckary i przyjmujących nazwisko Odenwaldu. Na południe więc znajdują się najwyższe szczyty tego łańcucha: Feldberg, królowa wszystkich tych granitowych i porfirowych gór 4,982 stóp wysoka. Od września do czerwca biała korona śniegowa otacza jego wierzchołek i szczyty innych. Erckasten, Kaudel, Hohkopf, Belchen, Blauen, są prawie równie wysokie; dolina Kincig, oddziela pasmo południowe od północnego, którego najkolosalniejszemi szczytami są Kniebis, Hornisgrinde, Rosbul i Hundskopf. Te dwa pasma gór i pagórków, zniżając się lekko, formują w końcu kwieciste doliny dochodzące do brzegów Dunaju, Neckary, i Menu i zajmują dwa kraje: Badeńskie i Wirtenberg, czyli 320 mil kwad. niemieckich, a ciągną się wzdłuż w formie trapezu na 45 mil.

Liczne rzeki wypływają z tych pochyłości i biegną przez doliny. Żołnierze Francyi i Niemiec często się spotykali w przesmykach i przejściach tych gór, chłodzili się u ich źródeł, zostawiając po drodze swoję krew, imiona i wspomnienia. Oto najprzód rzeka Wiesen, której źródło znajduje się w dolinie umarłych; dalej Elc i Dreisem między dwoma odnogami tej rzeki rozszerzającemi się w kształcie wideł, znajdują się olbrzymie granitowe ściany i ponury wąwóz doliny piekielnej, gdzie Moreau dokonał swego sławnego odwrotu, Noailles przeszedł w r. 1744, a Villers w r. 1703, idąc na Monachijum. Rzeka Kincig, której wartkie wody w przechodzie swoim łamią pnie, opływa góry, żłobi je; za jej biegiem szedł nieustraszony Guébriaut w r. 1643, który dał nowego króla Francyi, i nowy okres światu. Mała rzeczka Reuch przez którą w r. 1796 przechodził Moreau i niedaleko której, znajdują się jeszsze resztki szańców szwedzkich, wzniesionych przez sławnego Bernarda Sasko-Wejmarskiego, który w tym „raju ziemskim," podług wyrażenia Göthego, chciał sobie zdobyć i założyć królestwo. Dalej na północ jest rzeka Murg, ze swojemi pięknemi widokami i uśmiechniętą doliną. I tam francuscy żołnierze swe ślady pozostawili; tam jeden z najdzielniejszych i najskromniejszych jenerałów, uczciwy Lecourbe, rozbił Austryjaków w roku 1796.

Wspomnienia te zatarły się dla ludzi dzisiejszej epoki. Gdzie dawniej krew się lała, dziś trawa świeżej i wyżej rośnie. Czyż pod zielonym mchem dojrzysz kości ludzkie;—u stóp rozkwitłej róży, któż się domyśli rozbitej czaszki?

Pewien poeta odszkicował jednym pociągnięciem pędzla dziki urok i piękność tego kraju. Zachwycający jest ten opis, choć tylko w kilku słowach. Słuchajcie: „Na dwie godziny przed przybyciem do Bazylei droga przecina kąt lasu, gęstwiny, jodły, sosny i modrzewie; chwilami okazuje się miejsce jasne, na środku którego dąb sam jeden, jak świecznik siedmioramienny wznosi dumnie swe konary; dalej wąwozy, w których słychać szmer strumieni: oto Czarny-las."

Nam, mającym zamiar głębiej się zapuścić w tę piękną okolicę, wypada czytelników uprzedzić, że Czarny-las nie zawdzięcza nazwiska

swego tajemnicom, jakie pokrywa, ale ponuremu widokowi, jaki jego szczyty przedstawiają, uwieńczone liśćmi jodeł. Nawet gdy promienie słońca na nich uderzają, zachowują ciemny odblask, gdy słońce zajdzie, odcień staje się jeszcze ciemniejszym, czarnoniebieskawym i schodząc powoli w doliny wszystko tą barwę pokrywa.

Pogląd na te doliny, płaszczyzny i wyniosłości jest bardzo różny, stosownie do miejsca, z którego na krajobraz spoglądamy. Na wyżynach jest porywający. Na nagich szczytach Feldbergu, Kniebisu, Hornisgrinde etc. etc.; na pustych płaszczyznach, gdzie znajdują się czarne, lodowate jeziora Mumulse, Feldsee i Schluchtse (jezioro łkań) umieszczone na 3,000 stóp nad ludzkiemi mieszkaniami,— pustynia, cichość najzupełniejsza, roślinność niknie. Wierzchołki różowawego piaskowca lub granitowe okrywają się przez ośm miesięcy śniegowym całunem; obłoki przesuwają się ponad niemi, po szarymi obumarłym niebie, rzucając im w przechodzie tylko szron lub grad, gdy w dolinach spływają deszczem. Gdzieniegdzie tylko nędzne drzewo samotnie wyrasta.

Nigdzie gęstych liści i gałązek, pnie są żywcem niszczone przez mchy i licheny. Granit i trawa walczą o posiadanie przestrzeni, tu i owdzie krzak tarniny przebija się przez skały, otacza ich czoło w lecie swemi małemi, czerwonemi i czarnemi jagodami.

Życie zwierzęce zdaje się również nie istnieć na tych wysokościach. Nie słychać nigdzie śpiewu zabłąkanego ptaka, ani brzęczenia owadu na nagich wierzchołkach, lub koło smętnych wód. W tych górnych jeziorach żadna ryba wyżyć nie może, zimno jest zanadto przejmujące, pustka zawielka. Tylko pewien rodzaj salamandry żółtéj, czarno nakrapianéj, z głową szeroką i spłaszczoną, powierzchowności fantastycznej, dziwnej i odpychającej, znajduje się w lodowych wodach Mumulsee i przedstawia straszny i ponury obraz jakiejś piekielnej istoty.

Ale wszystko się zmienia odrazu jak tylko zejdziemy niżej, gdzie drzewa rosną.

Najprzód ogromne lasy jodłowe o pniach grubych, straszne, dumne, nie dające się niczemu rozwijać w swoim cieniu. Żadnej pasożytnej rośliny, żadnych krzaków nie ujrzysz; oko swobodnie przenika przez długie czarne sklepienie, między smukłemi i prostemi pniami, co rywalizują z sobą, który wyżej się wzniesie ku słońcu i światłu. Zdaje ci się, jakobyś raptem przeniesiony został do świątyni o tysiącach kolumn wyniosłych; opadające liście tworzą miękki kobierzec, co głuszy każdy krok, tylko widzieć wszystko można. Dalej las się urozmaica, rozszerza, zmienia powierzchowność i z majestatycznego staje się pięknym. Do dumnych i ogromnych jodeł, rozpościerających dolne gałęzie aż po ziemi, łączą się wielkie i piękne jesiony, których blade i połyskujące liście, migocąc na słońcu, tworzą zachwycający kontrast z ponurą barwą pierwszych; silne dęby zapuszczają korzenie w skałach, lekkie brzozy o białych pniach poruszają na słońcu swój piękny pióropusz. A u nóg ich, pod tą pyszną osłoną, cóż za przepych zieloności i kwiatów. Oto borówka, której jagody lekko wiatr porusza; jaskier otwierający swe szerokie korony złociste; przetacznik błyszczący swemi malutkiemi niebieskiemi gwiazdkami; parmeński fijołek, rozpościerający lila kwiat, jak kobierzec; niewinna niezapominajka; różowe wrzosy; gałęziste paprocie uśmiechają się do słońca, w cieniu tych lasów balsamicznych. Z innej strony pod świerkami słyszysz przeciągły szmer tysięcy małych górskich potoków—to już nie źródło wytryska, to kaskada. Masa niebieska opada, wije się, błyszczy, uderza o skłepienia skał, rozpryskuje się, rozdziela na błyszczące wężykowato płynące strumyki i wpadając w przepaść, okrywa się obłokiem piany. Tysiące widoków, tysiące szczegółów ciekawych odkrywa wzrok podróżnego. Tu bystry potok, obmywający swą przezroczystą wodą bryły różowego piaskowca, w którego szparach mchy, porosty, wodne rzeżuchy swoje kędziory rozpuszczają. Purpurowy odcień skały i ciemny koloryt pięknych roślin, białość kropli piany, czarodziejskie odbicie promieni słońca w tych wodach, tworzą harmoniją i przeciwieństwo kolorów prawdziwie cudowne.

Widzieliśmy najprzód puszczę, dalej las, przebiegnijmy teraz równiny, miłe i spokojne doliny, gdzie się mieszczą mieszkania pasterzów. Te doliny rozciągają się u stóp skał, nad brzegiem rzek, ochrania je i zamyka amfiteatr gór wokoło. Na ostatnich pochyłościach pagórkowatych rozpościerają się jak piękne tarasy, bogate winnice. Gdzieniegdzie się wznosi się zalotnie pośród tej zieleni maleńki domek z czerwonym dachem, przyczepiony do góry; nad nim panuje ogrodzony ogródek, uprawione pole, na którym rośnie żyto i kartofle. Przed oknami zasłoniętemi wysuniętym daszkiem, lub wyskakującym balkonikiem, kawałeczek urodzajnej ziemi, obróconej także na maleńki ogródek, który ocieniają drzewa orzechowe, śliwkowe, wiśniowe. Jęczmień, owies, konopie wznoszą swe zielone łodygi w cieniu tych drzew kwitnących. Na łąkach pasą się krowy, ryczą woły; koło domu kury kwoczą, kogut pieje, kaczki pływają i nurkują w przejrzystej wodzie strumyka. W powietrzu wesołe ptaszki świergocą i skaczą z gałązki na gałązkę; z wysokich górskich pastwisk, wietrzyk przesyła echo dzwoneczków, uwieszonych na szyjach krów i odgłos melancholijnej pieśni pastuszej. Otóż i wszystko, ale czyż to nie dosyć? Spokój wewnętrzny i zewnętrzny, —nagroda wytrwałej pracy, wielka cisza natury, bo bogactwo ziemi i piękność nieba, oto co posiadają mieszkańcy tych dolin, których noga nigdy na innej ziemi nie postała i którzyby się bali innego życia...

(d. c. n.)



Pieśni i Piosenki Maryi Szeligi. (Warszawa, Nakład S. Czarnowskiego i Sp. 1873 r., str. 260).

Znana dotąd jako autorka kilku poczytnych powieści panna Maryja Szeliga, przemówiła wiązaną mową, puszczając w świat spory tomik poezyj większych i mniejszych, różnych treścią, nastrojem i formą.

Opóźniając się nieco z naszą recenzyją, mieliśmy sposobność wysłuchać wielu zdań tak piśmiennie jako też i ustnie o wzmiankowanej pracy wygłaszanych. Zdania są liczne, częstokroć wprost sprzeczne i nierzadko krańcowe, co wyrażając się po dziennikarsku, wydaje nam się w każdym razie dobrą wróżbą dla literackiej karyjery p. Szeligi.

Bądź co bądź najnielitościwiej obejść nam się przyjdzie z ukochaną Miryjam *(Urszula Zmorska)* piękną córą Izraela, porwaną w lat dziecinnych dobie, wychowaną i ochrzczoną w klasztorze, umieszczoną na dworze hrabiny, nieprosznej opiekunki, co potym w zazdrości szale nie zawahała się zgotować biednej dziewczynie losu Barbary Ubryk. Postać nieszczęśliwej bohaterki miła, sympatyczna, wdzięczna,—akcyja oparta na kwestyi żywotnej i przeniknięta szlachetną dążnością;— a przecież, jak powiadam, najsurowiej będziemy musieli osądzić ten pierwszy z porządku utwór zatytułowany chrześcijańskim imieniem niewinnej Miryjam.—„Urszula Zmorska” grzeszy przedewszystkim w wielu miejscach nader zaniedbaną formą. Rymowanie „namiętności” i „niewinności,” „godności” i „zalotności,” „ateuszów” i „faryzeuszów” „Jezusa i „Chrystusa,” że pominę dziesiątki innych—zbyt już przypomina miejsce cudami słynące. Drugą wadą jest zbytek filozoficznych refleksyj i etycznych traktatów (str. 42, 58 i inne) które w poezyi uratowaćby mogła jedynie większa siła, a tej niestety bardzo często brakuje zupełnie. Nakoniec za całkiem niemal chybioną uważamy scenę przy wejściu policyi do klasztoru. Nie utrzymujemy bynajmniej, aby straż bezpieczeństwa publicznego nie mogła się znaleść na kartkach poematu; ale nie sądzimy również, aby realizm w sztuce potrzebował się uciekać do form przypominających protokuły sądu poprawczego. Cała rozmowa urzędnika z przełożoną klasztoru może być prawdziwa, niemniej jednak co chwila popada w trywijalność. Za najszczęśliwsze ustępy uważamy upostaciowanie samej Miryjam, określenie charakteru księcia Stanisława, co

..jak dziecko milutki, lecz jak dziecko słaby,
Tkliwy, a zniewieściały—typ tej kasty całej
Z wielkich ojców zrodzonej—lecz nędznie skarlałej;
Miał porywy zapału—łudzące powaby
I nic więcej!

wreszcie obrazy natury, ilekroć się trafiały. Względnie najsilniejszą wydaje nam się modlitwa nad ciałem Urszuli (str. 75.) a najudatniejszym prawdziwie artystyczne zakończenie:

........„Lecz dziwię się—tyle hałasów
Narobiono w gazetach dla takiej błahostki?
Wśród okropnych niestety! żyć musimy czasów!”
Tu westchnęła głęboko piękna księżna pani,
. . . .
I nacierając skronie ekstraktem paczuli,
Zmówiła „Zdrowaś Maryja” za duszę Urszuli.

Po skonie (fantazyja marzycielska) ukazuje nam tchnieniem bożym odrodzonego bajronistę—a ze względu na myśl przewodnią może służyć przedewszystkim za pożyteczną lekturę dla wielu naszych wieszczów.

Ideał kobiety (obrazek sceniczny) pod względem formy stoi o wiele wyżej od poprzednich. Zestawienie dwu kobiet, — jednej z prawdziwym uczuciem, samowiedzą i wolą, a drugiej ze zwykłym wdziękiem pospolitej gąski— dobrze obmyślane i udatnie skreślone. Dyjalogi żywe i naturalne. Cały obrazek wdzięczny, gdyby, gdyby nie... *Wściekły pinczer* mający niby posłużyć do rozwiązania intrygi. Sądzimy, że *deus ex machina* mógł był wygodnie w inną przyoblec się postać.

Ze spokojnej pracowni malarza, który posiadł swój *ideał*, przenieść się musimy do tragicznego królestwa:

Reginy (obrazek dramatyczny), po silnych wahaniach oddającej rękę o 5 lat młodszemu od siebie poecie, który wszelako później powtórnym zagorzał ogniem. W ostatniej scenie aż trzy trupy, jak orzech zgryzł. Boże mój drogi, czego też to nie wyrabia ta poezyja i miłość!. Mówiąc seryjo—dramacik ten dziwnie naciągnięty, a szkoda, bo przedmiot zajmujący i dosyć żywotny, forma zaś w wielu miejscach piękna, chociaż nie możemy tego powiedzieć o słowach Reginy wyrzeczonych na str. 163:

Ha! taki zwykle sąd o starszych pannach wydają,
Lecz ciężki to jest błąd! serc kobiet oni nie znają i t. d.

Uciekając się do bohaterskiego rytmu, trzeba było koniecznie utrzymać się w tonie. Jeżeli gdzie to tu, pospolitość niektórych frazesów jest rażącą.

Z drobniejszych utworów p. S. prawie wszystkie odznaczają się gorącym uczuciem i piękną formą. Najspokojniejszy liryzm wieje z piosenki „Na wiosnę"; silnym i rzewnym zarazem jest ustęp III i II ze *strof oderwanych*, oraz *skarga* w której poetka zapytuje z goryczą: „Na coś Ty Panie stworzył ród Jubala?" i t. d.

Kończąc ten krótki przegląd *Pieśni* i *Piosenek*, radzimy szczerze młodej kapłance lutni, aby w większych utworach więcej dbała o formę, a w mniejszych, aby się strzegła tych myśli, jakie ją nawiedzały *„w chwili zwątpienia"*, a po odczytaniu których gwałtem przychodzą na myśl własne jej słowa:

Miałam lat dziewiętnaście i byłam artystką
I wierzyłam w to święcie, żem już w życiu wszystko
Straciła w pierwszej walce... (!!)

A teraz jeszcze słówko. Starsi recenzenci zwykli niekiedy prorokować młodszym piórom. Niech i nam wolno będzie usiąść na wieszczym trójnogu. Otóż nam się zdaje, że panna Szeliga może nigdy nie być poetką pierwszej wody, ale ten zapas głębokiego uczucia fantazyi, i zapału, jaki widzimy w jej wiązanych utworach, da się spożytkować i w prozie, a w połączeniu ze znanemi już skądinąd zaletami umysłu i pióra, zapewni autorce pokaźne miejsce na polu powieściopisarstwa. *J. M. K.*

ROZMAITOŚCI.

Umysłowość zwierząt. *„Przyrodnik"*, czasopismo sześcio-tygodniowe, wychodzące we Lwowie, podaje następujące ciekawe fakty inteligencyi zwierząt:

Do czasopisma: Der zoologische Garten (Frankfurt n. M. 1872, N. 60), niewymieniony właściciel kanarka następującą podał wiadomość, którą tutaj w streszczeniu powtarzamy:

Ile razy zajęty był pracą przy stole ustawionym między oknami, zdejmował klatkę z kanarkiem ze ściany i postawiwszy ją na skrzynkę, w której inne znajdowały się zwierzęta, pozwalał ptaszynie latać swobodnie po pokoju. Tym to ćwiczeniem w lataniu po pokoju—właściciel przypisywał piękny, wytrwały i silny śpiew ptaszka. Swobody tej używał także do oswojenia i przywiązania ptaszyny do siebie. W tym celu sypał on na stół, przy którym siadywał, rozmaite łakocie, nęcąc niemi kanarka do siebie, między innemi zgniecione ziarna słonecznika, które kanarek bardzo lubił. Z początku latał on bojaźliwie ponad głową pracującego przy stoliku właściciela, który żadnej na niego nie zwracając uwagi, zostawiał go sobie samemu; potym usiadł poświerkując na wspomnionej skrzynce, nareszcie przecież zleciał na stół, porwał ziarnko i zmykał z nim czymprędzej na dawne miejsce. Gdy atoli pan jego nigdy najmniejszym nie przestraszył i nie spłoszył go ruchem, zostawał wreszcie przy podanych na stole łakociach, zjadając je tutaj spokojnie, a w końcu do tyla się ośmielił, że panu swemu siadywał na głowie i na ramieniu. Na owej skrzynce podawano mu także codziennie na spodku od filiżanki wodę do kąpania, z czego z wielkim korzystał zadowolnieniem. Bawiącemu poza klatką podawano także strawę zieloną, którą namiętnie lubił.

To swobodne bujanie po pokoju tak mu się spodobało, że trudno zamknąć go było znowu do klatki. Skoro się tylko pan zbliżył do niej, aby przywrzeć drzwiczki, roztropny i uważny ptak wymykał się z niej zaraz, latał po pokoju i nie wracał, aż pan oddalił się od klatki. Kilka razy udało się zdurzyć go zieleniną, włożoną do klatki po kąpaniu się. Ulubioną jarzyną jego był *starzec pospolity* (senectio vulgaris). Lecz po niejakim czasie zmądrzał kanarek w tym względzie. Skoro pan włożył mu zieleninę do klatki, przybywał ku niej, skakał tam i sam, mając uwagę bezustannie zwróconą na pana i znowu odlatywał, gdy się pan chciał przybliżyć. Widząc go zaś w dostatecznym od klatki oddaleniu, lub zajętego, siadał na otwartych drzwiczkach, spoglądał tona pana, to do klatki, aż wreszcie upatrzywszy sobie stosowną chwilę, wpadał do niej i porwawszy jednę roślinkę, umykał napowrót. Pan wynajduje nowy podstęp: przywiązuje do drzwiczek nitkę sięgającą do stołu, która takową przywiera, gdy kanarek wleci do klatki. Lecz im częściej tym sposobem udało mu się zamknąć ptaka, tym ostrożniejszym i mniej dowierzającym stawał się, aż gdy raz przed otwartemi dreptał drzwiczkami, nie mogąc się jak zwykle namyśleć do wejścia do klatki; nitka, owa fatalna dla niego nitka, zajęła uwagę jego. Siada tedy na brzegu onej skrzynki—przypatruje się uważnie sięgającej aż na stół nitce, zwraca główkę to na prawo to na lewo i wydaje głośny świst, znamionujący ciekawość i przerażenie. Otóż odgadł podstęp, jakim go zamykano przez czas jakiś w klatce. Lecz odtąd już się nie dał zwabić do klatki nawet ulubionym starcem; wolał się obejść bez niego, niż utracić wolność.....

Dalej podaje toż pismo wiadomość, otrzymaną od jednego ze swoich czytelników:

W roku 1869 jadąc drogą prowadzącą z Halicza do pewnej wsi pobliskiej, ujrzałem sarnę tuż przy drodze leżącą. Myśląc że nieżywa, zsiadłem z bryczki i podszedłem ku niej. Lecz ledwiem się na 20 kroków przybliżył do niej, zerwała się, zaczęła się rozglądać i pobiegła lotem błyskawicy do koni, które obok stały. Konie poczęły uciekać, a woźnica, mały chłopak, puściwszy lejce, sam spadł z kozła. Czego chłopak nie mógł uczynić, uczyniła sarna; becząc, biegła tuż za końmi, które się wnet uspokoiły i stanęły na pobliskiej łące. Tu sarna podbiegła ku nim, poczęła się spinać na nie i łasić się. Konie zdawało się odwdzięczały jej pieszczoty. Niedługo i ja przybyłem; sarna nie uciekała, owszem, przybiegła do mnie, poczęła się spinać do mnie, a gdy ją pogłaskałem, poczęła biegać to od koni do mnie, to odemnie do koni. Widząc, że sarna wcale nie myśli uciekać, usadowiłem potłuczonego chłopaka na wózku, a sam usiadłszy na koźle, jechałem pomaleńku do domu. Sarna ciągle biegła tuż przy koniach aż do dworu, który był blisko pół mili oddalony od miejsca, w którym ją znalazłem. Gdym wjeżdżał do domu, opadły ją psy, lecz ona lekkim rzutem przeskoczyła przez nie i skoczyła na bryczkę. Psy jeszcze ujadały, lecz odegnałem je batogiem. Gdym zlazł z kozła, sarna także zeskoczyła z kolan przestraszonego chłopaka i pobiegła do koni. Gdy konie wyprzęgano, psy znowu nadbiegły, lecz konie wierzgając, nie dały żadnemu przystąpić do sarny. Tu dopiero dowiedziałem się, że te konie były niedawno kupione ze stada, które się pasało w lesie. Wkrótce odprzężono konie, a były to klacze; sarna pobiegła za niemi i chowała się przy nich przez 18 miesięcy, chodząc wszędzie za niemi i wydobywając się szczęśliwie z napadów psów—aż ją raz śpiącą napadły i rozdarły. Konie tak się były przyzwyczaiły do niej, że i one niezadługo życie zakończyły.

Oba te przykłady dowodzą, że zwierzęta nietylko instynktem się kierują.

* * *

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych w królestwie polskim odbyło doroczne losowanie obrazów i rzeźb w roku zeszłym zakupionych. Wszystkich akcyj losowanych było 1500, na które rozdzielono losem 43 dzieł sztuki, kosztujących rs. 5355.

* * *

W okolicach Mławy sprzedano niedawno kilka włók budulcowej sośniny po 3375 rs. za włókę. Specyjaliści twierdzą, iż cena to stosunkowo dosyć wysoka, dotąd bowiem w tamtych okolicach sprzedawano włókę po 1500, po 1200, a nawet 7 włók za 3000 rs, t. j. włókę po 428 rs. Wszelako, jak donosi korespondent do Gaz. Rol., ów las sprzedawany niby korzystnie przeszedł niebawem w inne ręce po 6000 rs. za włókę; zatym 2625 rs. czystego zysku na każdej włóce dostało się przekupniom i pośrednikom. Nowy, jeden z pomiędzy wielu—smutny dowód naszej niezaradności i sprytu tych, którzy z niej potrafią korzystać.

* * *

W ostatnich czasach wyszły następujące książki:

— *Św. Aniela Merici*—założycielka zakonu św. Urszuli." (Poznań u Leitgebra, 1874).

— „Estetyka" Dr. *K. Lemckego* w przekładzie Bronisława *Zawadzkiego.* (Lwów u Gubrynowicza i Schmidta 1874).

— *J. U. Niemcewicza* „Druga podróż do Ameryki 1804—1807" (Lwów u Wilda, 1873).

* * *

— *W Teatrze Poznańskim* wystawiono takie nieznane u nas sztuki jak: „Obce żywioły" J. A. Hr. Fredry, „Pozytywni" J. Narzymskiego, „Śniadanie u marszałka", tłomaczone z rosyjskiego, oraz osławione „Tricoche i Cacolet" i piękna komedyja Scribe'go i Legouvégo „Ręce czarodziejskie." Opera powtarzała „Halkę" i „Violetę" a zajęła się przygotowaniem „Rigoletta". Jak widzimy, usilność i dobry smak dyrekcyi, uwzględniającej przedewszystkim oryginalne polskie sztuki, godne są wszelkiego uznania.

OGŁOSZENIA.

Dodatek powieściowy za miesiąc styczeń **„Grochowe wianki"** p. *Z. Mellerowej* p. prenumeratorowie miejscowi odbierać będą począwszy od soboty; dla prenumeratorów zaś prowincyjonalnych roześlemy go przy numerze 5-ym.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.